Nr. 18. Lwów — 1887 r. Cena 15 ct.

ISKRA

Wychodzi dwa razy na miesiąc.

Redakcja i Administracja: we Lwowie, ul. Ossollińskich l. 10, od frontu ul. Cichej na I. piętrze, przy Redakcji i Administracji „Gonca" wychodzącego również 2 razy na miesiąc. Prenumerata kwartalna na obydwa pisma **2** złr., półroczna 4 złr., roczna 8 złr. W Niemczech 16 marek rocznie, we Francyi i w innych krajach oraz w Ameryce 20 franków rocznie — stosunkowo na kwartał i pół roku. Prenumeratę przesełać należy przekazem pocztowym, lub w liście pieniężnym.



Pocieszycielki ludzkiego rodu.
Gaszą pragnienia i serca gaszą!..
Źródła miłości i... źródła zawodu,
Są szczęściem naszem i... boleścią naszą..





— A ty na co niesiesz tyle butelek, Joasiu?..

— To tatko kupił, bo węgrzy przyjechali...

— A, macie u siebie węgrów?

— Nie, ale tatko będzie pił ich zdrowie..

— Jakto, tak sam?..

— A sam, bo tatko powiada, że jak się kogo prawdziwie kocha, to nie potrzeba pomocy...



— Jaśnie wielmożny panie, ja także, jakby węgierka... Miej litość!

— Jakto — pochodzicie z Węgier?

— Nie, ale miałam męża węgra...

— Cóż, umarł?...

Nie umarł, ale pozostawił mi pamiątkę...

— Dzieci zapewne...

— Gdzietam! Pogruchotał mi kości i, jak uciekł na Węgry, tak go już więcej nie widziałam... Ale ja ciągle za nim tęsknę..



— Ej! panie Mateuszu, dokąd pan tak pędzi?...

— Ano idę węgrów zobaczyć...

— Tak na sucho?..

— Kiedy niema na mokro...

— Wie pan, panie Mateuszu — ja tak kocham węgrów, że dam panu cztery szóstki, ale musisz się z radości tak upić, że, ani nogą, ani ręką..

— No, no — możecie być pewnym, że nie zrobię zawodu; w takich sprawach politycznych, słowo u mnie, jak mur panie...

Drugi list z Wystawy krakowskiej.

List ten zmuszeni jesteśmy wyłącznie poświęcić zjazdom, które się odbyły w Krakowie z powodu wystawy. Porządku pod względem czasu, nie trzymamy się i choć przyjazd węgrów do Krakowa, można powiedzieć, zapieczętował wszystkie zjazdowe uroczystości, zaczynamy jednak od węgrów.

Ludek krakowski po różnych handelkach i kawiarniach, dość głośno rozprawiał, że wizyta węgrów w Krakowie nie była na rękę pewnym sferom, ale ludek lubi często gadać niestworzone rzeczy o tych sferach, które widzi jedynie przez okna, z ulicy.

Piszący te słowa przez czas pobytu węgrów w Krakowie był z nimi wszędzie i przekonał się naocznie, że udział w przyjmowaniu gości bratniego narodu, był co się nazywa powszechny — nie brakowało, ani arystokracji, ani ziemskiej szlachty, ani kupiectwa, ani rzemieślników, ani urzędników — jednem słowem, byli wszyscy, a młodzież akademicka krakowska, tak się świetnie spisała, że nawet ludzi dość ponuro patrzących w przyszłość naszą, napoiła pewną otuchą.

Przyjęcie i ugoszczenie węgrów, nie było wspaniałe, ale tak serdeczne, gościnne i wylane, że były chwile, iż goście węgierscy niemieli z podziwu i zachwytu. Stary gród królów polskich, w którym niemal każdy kamień jest pamiątką, zrobił na węgrach kolosalne wrażenie, a w Wieliczce przyszło też w pomoc olśniewające bogactwo tajemniczość natury...

Można mieć rozmaite poglądy polityczne i kuć, albo smarzyć różne przymierza narodowe w imie rasy, polityki i interesów, ale z pewnością takiego zbratania się dwóch narodów, jak węgrzy i polacy, nie przedstawiają nam, ani przeszłe, ani teraźniejsze dzieje. Co tu gadać o rasie w obec takiego zbratania dwóch odrębnych zupełnie szczepów... I oryginalne, bo też było bratanie się gości węgierskich z przyjmującymi ich polakami. Osobiste rekomendacje odbywały się dopiero post festum, bo przedewszystkiem, jak się to np. działo na salach w hotelu saskim, polak brał bez ceremonji węgra za łeb, węgier robił to samo z polakiem, a wycałowawszy się, często bardzo i po rękach, dopiero wtedy zarekomendowali się sobie, a czasem nie rekomendowali się wcale... Młodzież akademicka goszcząc przybyłych akademików węgierskich w „Zdrowiu“, nie namyślając się długo, zaniosła ich na rękach przez miasto do hotelu saskiego, gdzie było ogólne zebranie. Co się działo w teatrze na przedstawieniu „Kościuszki pod Racławicami“, na kopcu Kościuszki i na Wawelu, tego opisać niepodobna — to trzeba widzieć i słyszeć... Nie widziałem tyle ludzi płaczących z radości, ile ich płakało podczas pobytu węgrów w Krakowie. Bankiet, a raczej obiad, wydany na cześć węgrów na placu wystawy, był najmniej zajmującym — gadano na nim wprawdzie dużo, ale to już było ułożone, a nie improwizowane, co właśnie chwyta za serce.

Ta miłość węgrów z polakami nie zrodziła się znowu tak raptem. Dzieje pracowały na nią krwią i żelazem. Krótka historyczna notatka z powodu gości węgierskich w Krakowie, będzie na czasie:

Wiarę chrześcjańską wniosła do Węgier córa Piastów Biała Kniahini. Za sprawą świętej Kingi, córy Beli IV, a żony Bolesława Wstydliwego — podniosły się i zakwitły saliny wielickie; na tronie polskim jaśniała wiekopomna Jadwiga, córka Ludwika Węgierskiego.

Rycerski nasz król Władysław, syn Jagiełły — pospieszył na tron węgierski i w obronie chrześciaństwa przeciw turkom, poniósł śmierć bohaterską pod Warną na czele węgrów i polaków. — Bratanek jego Władysław, władał czechami i węgrami a jego syn Ludwik położył głowę w obronie wiary pod Mohaczem. Córa dzielnego rodu Zapoliów — Barbara, była żoną naszego króla Zygmunta I. a córka jego Izabella dzieliła — jako żona — smutne losy Jana Zapolii - króla węgierskiego. Jeden z największych królów nasz — Stefan Batory, z węgierskiej do nas przybył ziemi!

Rok 1848 umocnił na wieki wieków braterskie węzły węgrów z polakami.

Zjazd kupców chrześcijanskich w Krakowie. który zainicjowało towarzystwo kupców krajowych we Lwowie, nie obudził zajęcia, nietylko w szerszej publiczności, ale nawet w sferach kupieckich. Rezolucje zapadłe na tym zjeździe w ogóle, albo nie mają praktycznej podstawy, albo pozostaną się na długo, a niektóre i na zawsze, pobożnemi życzeniami... Rozprawy np. o zakładowym kapitale, w trzecim dniu zjazdu podjęte, były poprostu bez celu, chyba jak to mówią, prowadzone tylko „dla rozmowy.“ Nie było i nie będzie nigdy prawa oznaczającego wysokość kapitału do zakładania jakiegoś przedsiębiorstwa — najprzód dla tego, że sama natura interesu wskazuje, ile mniej więcej trzeba użyć pieniędzy na założenie jakiegoś interesu, powtóre, dla jednego wielki kapitał będzie za mały i zmarnuje go, a dla drugiego w tem samem przedsiębiorstwie, mały kapitalik wystarczy i zaprowadzi go do majątku wielkiego. Ograniczenia pod tym względem przez ustawę, byłyby poprostu zgubne dla krajowego i, w ogóle, dla ludzkiego przemysłu. Ponieważ mamy zamiar w jednym z następnych numerów „Gońca“, pomówić obszerniej o lwowskiem stowarzyszeniu kupców i przemysłowców krajowych, czy chrześcijańskich, a niemal wszystkie prawie wnioski, z inicjatywy tegoż towarzystwa pochodziły, w sprawozdaniu ogólnem z wystawy, poprzestać jedynie musimy na powyższej wzmiance.

Zjazd prawników i ekonomistów polskich odbył się pod przewodnictwem hr. Augusta Cieszkowskiego, uczonego europejskiego stanowiska. Pod względem rezultatów moralnych zjazd ten niezawodne przyniósł korzyści — pod względem praktycznym, w obec dzisiejszych politycznych stosunków, po tamtej stronie kordonów, rozprawy i rezolucje zjazdu prawniksw i ekonomistów polskich, będą miały tylko akademickie znaczenie. Dobre jednak i to — — skorzysta zawsze coś z tego nauki, a z niektórych rezolucyj może, choć w części skorzysta rząd austrjacki, który ma interes i potrzebę brać w rachubę to, co w polskiem społeczeństwie przyczyni się więcej do ładu, do dobrobytu i pomyślności ogólnej.

Naturalnie, tak zjazd kupców i przemysłowców, jak prawników i ekonomistów polskich, zakończyły się bankietami. Bez tych u nas nic się obejść nie może i, gdyby nawet przyszło radzić podczas cholery, jak się bronić od cholery, to bez bankietu by się nie obyło.

Ale to już trudno — tak było, jest i będzie, bo zwyczaj jest mocniejszy od ludzi i od ich rozsądku. (D. c. n.)

Od ręki.

— Czułostkowość.

Tak często rozczulamy się niepotrzebnie, a mamy zamknięte serca, gdy rzeczywista nędza, lub potrzeba do nich puka, że zakrawa to już na jakąś chorobę...

Od pewnego czasu tutejsi konduktorowie tramwajowi stali się przedmiotem publicznego rozczulania nad ich losem i pracą. Nie przeczymy, że los ich nie do zazdrości a praca ciężka, ale są to ludzie stojący na tym poziomie inteligencji i uzdolnienia, że większego zarobku nigdzie nie mogą znaleść. Mają oni po 30 i trzydzieści kilka reńskich na miesiąc, a oprócz czytać i pisać i to licho nic więcej nie umieją. A teraz prosimy rozejrzeć się w tutejszych stosunkach i przekonać się, że wielu takich, którzy pokończyli szkoły i uniwersyteta, albo fachowo uzdolnieni, pracują całymi dniami po kancelarjach i zakładach i bardzo wielu ma po dwadzieścia kilka reńskich na miesiąc. Konduktorzy tramwajowi pracują ciężko — prawda — ale wszyscy u nas, którzy służyć, muszą pracują i to bardzo ciężko. Nie mają losu zapewnionego na przyszłość, a któż go ma zabezpieczony? Artysta, literat, gromady djurnistów po różnych rządowych i nie rządowych zakładach — czy mają los zapewniony na przyszłość? Powiadają, że konduktorów tramwajowych obkłada dyrekcja karami — i to prawda, ale w tego rodzaju przedsiębiorstwach, szczególniej też komunikacyjnych, dyscyplina musi być surowszą, aniżeli gdzie indziej. Tak samo jest za granicą. Niechby popuszczono cugle służbie tramwayowej i nie obkładano ich karami za wszelkie uhybienia i przekroczenia miałaby się publiczność jeżdżąca z pyszna. Nadużycia byłyby takie, że każda dyrekcja zasypana byłaby skargami. O losie konduktorów tramwajowych — niech myślą sami konduktorzy założeniem jakiejś kasy pożyczkowej, albo emerytalnej, ale przy ciągłych zmianach w personalu służby przy ciągłem oddalaniu i przyjmowaniu nowych, wątpimy, aby tego rodzaju kasa mogła być oparta na stałych podstawach — potrzebaby chyba ją połączyć z kasą jakich innych pokrewnych zajęć.

— Poco to wszystko.

Pisma codzienne lwowskie, ale to bez wyjątku zamieściły z rusińskiego „Diła“ przesłany do tegoż pisma list niejakiego Załuskiego szewca ze Zbaraża. Pan ten siedział w kozie w znanej sprawie Olgi Hrabar, potem przeszedł znów na unję i obecnie pisze do „Diła“ listy, w których oskarża Naumowicza, Płoszczańskiego et consortes i podaje się za męczennika. Jak powiedzieliśmy nasze pisma codzienne list ten powtarzają. Poco? Czy podobnego rodzaju człowiek, jak Załuski wart, aby się nim publicznie zajmowowano i całe szpalty o nim zapisywano? Człowiek prosty, a zatem niekierujący się żadną ideą polityczną wyższą, zmieniający religję, jak stare, albo ciasne buty na nogach, nic nie wart. Moskale zmuszający do prawosławia mogą się cieszyć z takich nabytków, albo żałować, gdy od nich zrejterują, ale dla nas taki Załuski przechodząc na prawosławie i wracając z niego — jest zawsze nędznem in dyw

duum, którem się publicznie zajmować nie warto — owszem, należało donieść o przejściu Załuskiegz znowu na unję i zaznaczyć wyraźnie, że człowiek ten wart zawsze tylko pogardy, a nie jakiejś drukowanej opieki i publicznej rehabilitacji.

Towarzyszom z nad Warty.

Wypiliśmy wina czasze
Przy serdecznej gwarze,
Poznały się serca nasze,
Więc was piosnką darzę:

Przyszli we trzech dzielni męże —
Jak wieść stara niesie,
I zatknęli swe oręże
W rozsochatym lesie.
A po krótkiej słów wymianie
Uradzili we trzech,
Że z nich jeden tu zostanie,
Więc został się brat Lech.
Mając żyłkę od dzieciństwa
Do uprawy roli —
Na podstawie hartu, męstwa
Rósł w pierze powoli.
Dorobił się włości, trzody,
W pewnym czasu kresie,
Pobudował sioła, grody —
Tak wieść stara niesie.
Później — piszą foliały —
Z dzielnicy tej książęcej
Powstał naród okazały
Wielki i potężny...
Jak szlachetnym dążył torem,
Jako walczył chrobrze,
Jak się prawem i honorem
Rządził — wiemy dobrze.
Patrzyła Opatrzność boża
Na obszerne mienie,
I od morza aż do morza
Rzucała promienie.
Dziś Opatrzność wąską smugą
Ciska promyk blady,
Za widoczne już niedługo
Będą zniszczeń ślady...
Gmach się rozpadł okazały
Lepianka się kruszy...
Hej! kolebko dawnej chwały
Jeszcze w górę uszy.

Bol. Sch. Wol.

Teatr.

Opóźniliśmy się trochę z oceną nowo wystawionego dramatu Ohnet'a: Hrabina Sara — za to nagromadziło nam się do jednego numeru „teatralnego materj łu" tak wiele, że czytelnicy nasi zamiejscowi szczególniej, zapewne powiedzą: „za wiele kwiatów, za wiele"...

Niema rady — musicie je wąchać...

Najkardynalniejszy zarzut, jaki zrobić należy, w ogóle, francusk m autorom, mianowicie też dramatycznym, oczywiście dzisiejszym —jest brak prawie zupełny świeżych pomysłów — wszystkie poważniejsze komedje, czy tam tak nazwane „dzi ła sceniczne" na wszystkie strony obrabiają zdradę małżeńską... Stara to rzecz, jak świat.. W raju małżonkowie się zdradzali, a cóż dopiero w naszych czasach, gdzie kobieta za parę rękawiczek płacić musi kilka reńskich, a butelczyna podrabianego szampana kosztuje sześć guldenów.. Ohnet tę zdradę małżeńską opisał w obszernej powieści, a potem węzłowato ją uscenizował — z czego, naturalnie, wyniknąć musiało, że wiele charekterów i sytuacyj jasnych w powieści, w dramacie zamąciło się, było nie zrozumiałe i odgrywało rolę piątego koła u wozu. Robota jednak Hrabiny Sary jest, w ogóle, zręczna, choć dwa pierwsze akta długie, o scenach rozwlekłych i nie rzadko banalnych.

Hrabinę Sarę, więc tytułową rolę, grała pani Żelazowska. Jest to jedyna postać w tej sztuce Ohneta, którą autor wyposażył rysami głębszej charakterystyki, temperamentem i pewnego rodzaju psychologiczną fantazją... Rolę tę przewybornie pojęła pani Żelazowska. Dla nas odtworzenie hrabiny Sary przez panią Żelazowską nie było znowu niespodziewaną nowiną... Niepospolity talent w tym właśnie, mniej, lub więcej, kierunku, dostrzegliśmy, gdy artystkę tę po raz pierwszy na scenie krakowskiej zobaczyliśmy i wówczas pisząc o krakowskim teatrze pisaliśmy jakiego rodzaju siłą rozporządza pani Żelazowska, której niepospolity talent opiera się o takie zewnętrzne, sceniczne warunki, jakich najgłośniejsze artystki pierwszych scen zazdrościć mogą.. Pani Żelazowska w roli hrabiny Sary, okazała się artystką tak przenikliwą, że w pewnych szczegółach gry wywoływała, istotnie, dodatnie zdziwienie — jednem słowem, winszujemy pani Żelazowskiej tej roli i radzimy śmiało iść po tej drodze — będą na niej kolce i cier nie, ale będą i... kwiaty...

Drugą kobiecą postać, melancholijnej dziewicy, którą autor podmalował jakimś szarym kolorytem, grała pani Stachowicz. Postać to nie bardzo wdzięczna dla każdej artystki — i, bez przesady, można powiedzieć, że na naszej scenie ożywił ją tylko talent pani Stachowicz, która, jak zwykle, umiała roztoczyć ten wdzięk słodyczy, miękkości i powabnej niewinności chwytający za serce i... za zmysły... Inne role kobiece bez żadnego znaczenia — oddane, zresztą, starannie przez panie: Woleńską, Wisłobodzką i pannę Pysznik.

Z ról męskich, bohaterem jest p. Woleński, porucznik — bohater ten w powieści ma rysy wyraźne, na scenie potrzebowałby objaśnień, bo często jest niezrozumiały. Pan Woleński wyglądał dzielnie i grał z ogniem, Pan Kwieciński grał młodego i zakochanego notarjusza z właściwym mu zawsze męskim wdziękiem i sympatycznie — rola to, zresztą, banalna i nic z niej zrobić nie można. Pan Ruszkowski dobrze ucharaktyzowany, był dzielnym pułkownikiem — rubachą. Starannie odegrał małą rolę, kompletnie niepotrzebną w sztuce, p. Kasprowicz — nareszcie zdradzonym mężem był p. Zboiński, a do tego jenerałem ze zdradzającym adjutantem — bagatela... Spokój, artystyczna miara, chwilami błyski prawdziwego uczucia cechowały grę tego zdolnego artysty.

Pp. Abrahamowicz i Ruszkowski nazwali swego Florka „krotochwilą". Jestto rodzaj „broni niewieściej" w obec krytyki.. „Krotochwilę tę wystawiono po raz pierwszy u nas w zeszłym tygodniu i powtarzano ją potem.

Florek, jest warszawskim komornikiem, a komornik — to egzekutor sądowy. Wiadomo, że najgorszymi ludźmi w Warszawie są komornicy i doro karze, a nawet ci ostatni w 1862 r, rehabilitowali się, bo nie przyjmowali opłaty od tych, co więźniów politycznych odwiedzali w cytadeli — komornik był, jest, i będzie zawsze w pogardzie, raz dlatego, że w Kongresówce zakorzeniłasię o nimtradycja najgorszej reputacji, jako o człowieku, a powtóre, choć się to dzieje w imię prawa, zawsze wydziera on ostatki mienia i ten któremu wydzierają nie widzi przed sobą prawa, tylko łapy komornika... Ale Florek nie zasługiwał na pogardę — przeciwnie, był to człowiek miękki, uczuciowy, z gruntu poczciwy, a do tego niedołęga i nieporadny w życiu — to miał być główny materjał dla autorów do napisania trzy-aktowej „krotochwili". Materjał nie zły, choć nie nowy — obrabiali go już Wilczyński i Klemens Junosza — ten ostatni przed kilku miesiącami w obrazku „Wilki" — kartka z pamiętnika komornika drukowanego w „Roli" i „Gońcu". Kardynalną wadą tej „krotochwili", jest to, że autorowie wprowadziwszy mnóstwo osób do sztuki nie umieją z niemi sobie dać rady i dopiero zaczyna się chowanie... Sześć drzwi w pokoju, gdzie się rzecz odgrywa, za mało. Od czasu do czasu wypuszcza się zamkniętych na scenę i dopiero odbywają się kolizje komiczne a la pies z kotem... We Florku takie pakowanie osób działających, po różnych dziurach, odbywa się na wielką skalę i przypomina klatki i menażerję... Przypuścić trudno, aby autorowie nie znali obyczajowych i towarzyskich cech domu wiejskiego obywatela — podobne jednak bieganie w gromadzie za panną po całem mieszkaniu, jakie autorowie w drugim akcie wprowadzili, nie dzieje się nawet w porządniejszej nocnej kawiarni i silnie przypomina te naturalistyczne sceny, których zmuszeni jesteśmy nie raz być świadkami na otwartem powietrzu, ale nie między ludźmi...

Florek, jako farsa posiada kilka scen i epizodów wesołych i komicznych, ale grzeszy luźnością, gmatwaniną i trywialnością, sytuacyj i scen.—Umundurowanie komornika było fałszywe—takiego munduru nie nosił, ani dawny komornik, ani obecny nie nosi; powinien mieć kołnierz z ciemnozielonego aksamitu wykładany, na przodzie dwa rzędy guzików, szpada i żadnej czerwonej obwódki.

Florka grał p. Walewski doskonale i zasłużone zbierał oklaski — inteligentny i utalentowany ten artysta, umie zawsze zachować miarę i nigdy nie przekroczy granicy szlachetnego komizmu. Z innych artystów i artystek wyróżniali się bardzo dobrą i staranną grą pp. Frenkiel, Wojdałowicz, Szobert, Piasecki i Wysocki, oraz panie: Gostyńska, Cichocka, Pysznik i Wisłobodzka — role, zresztą, kobiece są bez większego znaczenia w sztuce.

Pierwszy występ pani Zimajer w „Pierścieniu rodzinnym" zapełnił salę teatralną. Artystkę przyjmowano z wyróżniającą sympatją. Jak wiadomo pani Zimajer na cały rok zangażowaną została na lwowską scenę co, oczywiście, przyczyni się do ożywienia, temwięcej, że pani Z. i w komedjach występować będzie.

P. Skalski powrócił na scenę — dobrze zrobił i przekonał się, że źle mu radzili ci, których rad, niestety, słuchał.. Pani Skalska także będzie występowała na naszej scenie, ale pobierać będzie honorarjum tylko od występów. Po raz pierwszy pani S. wystąpiła w „Marcie" z p. Myszugą — przyjęto ją sympatycznie i oklaskiwano — p. Myszuga miał chrypkę, śpiewał jednak

pięknie — dzielnie mu towarzyszyli pp. Łomiński, Koncewicz i pani Kasprowiczowa.

Piszą na z Krakowa:

Pod panem Lubiczem zaczyna się chwiać bruk krakowski — prędzej, czy póżniej wyleci on ztąd i zapewne będzie się starał Lwów uszczęśliwić. Pan Glikson już nie chce mieć osobistych stosunków z Lubiczem, nie mówi z nim i przez osoby trzecie wydaje swoje polecenia. Można się było tego spodziewać... — Glikson, człowiek uczciwy i honorowy, długo z tego rodzaju ludźmi, co Lubicz pracować nie może, bo by sobie szkodził w opinji...

Skry.

Oto, co się nazywa łączyć przyjemne z pożytkiem.

Czytamy w „Gazecie Polskiej“, wychodzącej w Nebrasce w Ameryce:

„Wobec pełnej sali miał Dr. Słomiński w sobotę 27. sierpnia na wieczór, w tutejszej miejskiej operze odczyt o akuszerji i chorobach wenerycznych. W pauzach zacny nasz gość p. Władysław Nowicki wykonał na skrzypcach, przy akompaniamencie p. Aleksandra Prochowicza na fortepianie „Symfonie“ Bethovena i „Polonez“ Ogińskiego, który przez amerykanów oklaskami przyjęty został. Podobno w przyszłą sobotę wystąpi p. Dr. Słomiński z drugim odczytem w tej samej operze“.

Ciekawa rzecz, jaki też przedmiot wybrał Dr. Słomiński na ten drugi odczyt i co mu przygrywali na fortepianie i skrzypcach....

Jedno z pism New-Yorskich temi słowy kończy nekrolog pewnej znakomitości: „Przez śmierć tego niepospolitego męża społeczeństwo traci wielką ozdobę swoją, nauka potężny filar, a dziennik nasz jednego z punktualnie płacących abonentów“.

Młoda debiutantka. Sławna Ristori opowiada w swoich pamiętnikach, że mając trzy miesiące, debiutowała na scenie w jednej sztuce, w której ojciec gwałtownego charakteru powinien nagle złagodnieć na widok swego dziecka. Ten debiut nie należał do szczęśliwych, bo maleństwo tak krzyczało cały czas, że publiczność nie słyszała aktorów i przy następnych przedstawieniach dyrektor zastąpił ją ogromną lalką. Drugi raz debiutowała, nie z większem powodzeniem mając trzy lata, bo kiedy rycerz srogi, który jej groził, że ją zabije, chciał porwać ją w swe ręce, uciekła za kulisy, wrzeszcząc z całych sił. Nareszcie, mając cztery lata dziecko już było grzeczniejsze i grało małą rolkę przy oklaskach widzów — którzy byli średnimi aktorami i przenosili się wraz z nią na rozmaite sceny.

Przykład godny naśladowania. Reklama australska.

„Gwiazda Melburnska“ zamieszcza ogłoszenie następującej treści, podpisane nazwiskiem doktora, praktykującego w tem mieście.

„Obowiązuję się zapłacić połowę kosztów pogrzebu, jeśli moja kuracja nie uleczy chorego“.

Policjant magistratu zbliża się do idącej ulicą damy, za którą biegnie mały piesek.

— Proszę się zatrzymać, piesek pani nie ma kagańca — nie mogę tak puścić płazem...

— To nie mój pies, odpowiada dama i idzie dalej.

— O! o! przecież biegnie za panią. Ja pedam do kary.

— Proszę mi dać pokój, pan także za mną biegniesz, a nie masz kagańca!

Odpowiedzi Redakcji i Administracji

Pp. autorom wierszy: „Hej! hej!“, „Golę brodę“ — słabe — nie będą drukowane.

P. Czytelniczce zapalonej. Bardzo dobrze, ale kto się pali, może się i spalić...

P. Fuks w Krakowie. Odpowiedzieliśmy listownie.

P. C. D. w R. Prosimy, ale żadnych osobistych wycieczek.

Nadesłane.

Próżniactwo jest początkiem wielkiego złego, a lenistwo przyczynia się do zrujnowania wszelkiego szczęścia, one osłabia siłę woli, wywołuje złe skłonności i prowadzi każdego, kto się nie zdoła z więzów jego oswobodzić, do moralnego i materjalnego upadku. Jakże się atoli ten może do żywej czynności zabrać, kto ma wszystkie członki jak ołów ociężały, kto bezustannie z nieprzezwyciężoną słabością ma do walczenia, aż w końcu w lenistwie pogrążony zostąnie, do czego dawniej nie był wcale przyzwyczajony. Cała ociężałość i osłabienie członków jego nie jest niczem innym, jak cielesnem cierpieniem którego początku w zatamowaniu krwi i z tem połączonej zmiany materji szukać należy. Za pomocą prawdziwych aptekarza R. Brandta pigułek szwajcarskich (w aptekach pudełko po 70 ct. do nabycia), doprowadza się znowu krew do nowego biegu i reguluje trawienie, wtenczas też usunie się ową ociężałość członków niezwłocznie, a wyleczony może zdrów wesoło do pracy powrócić. Trzeba zważać na podpis R. Brandta i biały krzyż w czerwonym polu na etykiecie

(4156—13—4

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo Franciszek Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni „Dzien. Pol.“ pod zarządem J. Mittiga.